

Józef Kallenbach

Stanisław Tarnowski

Pamiętnik Literacki : czasopismo kwartalne poświęcone historii i krytyce literatury polskiej 15/1/4, 1-6

1917

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

STANISŁAW TARNOWSKI.

(† 31. grudnia 1917 r.)

Długosz zapisał o Leliwitach: *ex ista familia sunt viri liberales et militares et patriae amantes*. Stanisław Tarnowski był w ciągu długiego swego i pięknego żywota jakby uosobieniem tych Długoszowych epitetów: *artium liberalium* nie tylko *magister*, ale krzewiciel i wyznawca nieustrudzony przez pół wieku przeszło; *militaris*, gdy za wierne opowiedzenie się przy Ojczyźnie i za walkę piórem w Jej obronie od r. 1863 cierpiał prześladowanie i więzienie; Ojczyzny miłośnik gorący, zawzięty, a przytem karny, posłuszny, gdy trzeba było szeregowiec, gdy potrzeba nakazywała: chorąży, ba — Hetman!

Rozległe było pole jego trudów i zasług, nie łatwe do zmierzenia epigonom. Inni niech piszą o Tarnowskim polityku, pośle sejmowym, radcy szkolnym, publicyście itd. — *Pamiętnik Literacki* pragnie w pierwszej chwili żałoby złożyć bodaj krótkie wspomnienie tak bogatej i tyloletniej działalności historyka literatury polskiej.

Był on historykiem, opowiadaczem dziejów piśmiennictwa narodowego, z umiłowania ich serdecznego i z potrzeby naturalnej, staropolskiej, dzielenia się żywym słowem, nie piśmem tylko: był on bowiem mówcą z urodzenia. To była jego zdolność główna, to owa *faculté mai-*

tresse, wymowa po przodkach*), mówcach sejmowych, odziedziczona, a staraniem długiemi doprowadzona do dziwnej doskonałości. Wymowa ta przenikała styl cały, budowę okresu, nadała nawet ton i tok myślowi tak, że ktokolwiek słuchał wykładów Tarnowskiego, a po latach odczytywał jego studia literackie, ten mimowoli miał żywe złudzenie, że nie tylko go czyta, ale że go naprawdę słyszy...

Wymowa była czarodziejska. Organ głosu wspaniały, męski, podatny wszelkim modulacyom, zależnym od treści, a więc raz groźny, wstrząsający do głębi, to znowu łagodny, czuły, wnikaający do serca — ten organ głosu sam już sprawiał, że słuchało się Tarnowskiego z zachwytem. Nigdy nie zapomnę wrażenia pierwszych dla mnie wykładów Tarnowskiego o arcydziełach Mickiewicza, Słowackiego i i. w półroczu zimowym 1880—81 r. Przywykły do prostej nauki gimnazjalnej, podawanej jasno, ale sposobem domowej rozmowy — nie miałem wyobrażenia, że można tak mówić i tak słowem czarować. A gdy równocześnie działała i przemożna treść wykładu o *Dziadach* lub o *Kordyanie* — i wstrząsające wygłoszenie ustępów takich, jak wywożenie kibitek (opowiadanie Sobolewskiego) lub Improwizacya Konrada — młodzieniec-słuchacz sam nie wiedział, co ma robić: czy zapisywać w pośpiechu słowa wykładu, czy raczej zrezygnować z notowania, a oddać się wyłącznie urokowi całości, poddawać się równocześnie i treści i wdziękowi wymowy.

Słuchałem potem i w Polsce i za granicą wielu krasomówców, wielu znakomitych profesorów; — podobnego wrażenia, jak z tych wykładów Tarnowskiego już nigdy nie odniosłem. Ani retoryczna, świetnie zbudowana i logicznymi wywodami do końcowego wyniku zmierzająca lekcya Brunetièra, ani pełna swobodnego, gawędziarskiego wdzięku, dobrodusza i dowcipna zarazem *causerie* Gastona Boissier, ani pełen ognia żywiołowego i dytyrambicznego uniesień wykład erudyta M. Bernaysa, ani wreszcie jasny, trzeźwy i znakomity wywód psychologiczny W. Wundta, lub estetyczne rozprawy Ant. Springera — nie mogły się co do formy i wygłoszenia mierzyć z wykładem St. Tarnowskiego. Z tą nieporównaną wymową szły w parze obok jej uro-

*) „Co w głowie miał, to mógł i wymówić snadnie“ powiedział o Hetmanie Tarnowskim Jan Kochanowski.

ków także nieodłączne strony ujemne. Gdy żywego głosu brakło, gdy całe te miesiące i lata uniwersyteckiej wymowy ucichły i stężały w sześciu (a właściwie siedmiu) dużych tomach drukowanej Historii Literatury polskiej, miało się jakby ogromny zielnik pięknie ususzonych kwiatów, których woń uleciała, a barwa nieraz wyblakła. Nie chciałbym być źle zrozumianym: nie twierdzę, że Historia Literatury Polskiej utraciła, w druku wartość myśli i siłę przekonania, bynajmniej; ale uroku Jego wymowy już nam najpiękniejsze czcionki i najlepszy papier nie oddadzą. Ten urok stanie się z czasem legendą, gdy za Tarnowskim* ułożą się na wieczny spoczynek ostatni Jego słuchacze. Co w żywym, głośnym wykładzie było zaletą pedagogiczną: streszczanie wywodów, lub powtarzanie ważniejszych myśli — to w czytaniu może dziś niejednego nużyć. Tarnowski wiedział o tem bardzo dobrze, kiedy w przedmowie do Historii Literatury przyznawał się do „wrodzonego rozwlekłego sposobu pisania“; ale z tego, zdaje mi się, nie zdawał sobie sprawy, że ten „wrodzony sposób pisania“ pochodził genetycznie od wrodzonej wymowy, która przecież nie była rozwlekłą, ale jako opowiadanie pozwalała na powtarzania się; te zaś dopiero w piśmie nabierały znamion rozwlekłości.

Rozwiodłem się nieco nad formą, aby przez nią wyłłomaczyć nie jedno, co może zaszkodziło treści pism Tarnowskiego. Pisał on historię literatury tak, jak ją wygłosił całą, nie dla wybranej garstki specjalistów, ale dla ogółu wykształconego; na wykłady jego uczęszczały tłumy prawników, medyków, przyrodników — a nie sami tylko poloniści. Stąd w wykładach tych takie mnóstwo wyjątków z dzieł, takie obtite streszczanie utworów, aby choć w części zaradzić tej biedzie, że „Polak, nawet wykształcony, nie czyta, nie zna swoich pisarzy...“ I to jest jedną z wielkich zasług tej Historii literatury, że ona upowszechniła wśród szerokich sfer, dostępnością i wdziękiem opowiadania, znajomość piśmiennictwa ojczystego. Równocześnie zaś, nieznanie, szerzyła ta Historia poczucie estetyczne, kształciła smak, wykazując na licznych przykładach źródła najszlachetniejszych wzruszeń nie tylko polskich, lecz ogólnoludzkich. Ale — już słyszę zarzuty, że w tych wywodach estetycznych Tarnowski nie umiał, czy nie chciał być bezstronnym, że dawał się ponieść swym sympatjom, na których za dobrze wychodzili Jego przyja-

ciela polityczni — lub swym antypatjom, których ofiarą padały nieraz jednostki, otoczone uznaniem współczesnych. Tarnowski przyznawał się do tych rzekomych przewinień, ale zapytywał, kto pod tym względem jest tak bez winy, że może weń cisnąć kamieniem? Obiektywność! owszem, nic piękniejszego nad teorię, ale jak ona wygląda w praktyce? „Czy jest słusność, czy jest prawda w tej doktrynie, która każe piszącemu wyrzekać się zdania i sądu?... Czytelnik nie ma żadnego obowiązku przyjmować sądy autora, ma wszelkie prawo je odrzucić. Ale, żeby autor nie miał prawa myśleć i sądzić, żeby miał być tylko fotograficzną płytą, która odbija, a sama jest nieruchoma, bierna — to nieprawda. Naprzód żaden, nawet kiedy najbardziej chce, nie potrafi, nie może być biernym, bo jest człowiekiem, nie płytą szkła, bo myśli i czuje; jego myśl i uczucie musi zawsze domieszać się do tego, co on pisze. Ale prócz tego on ma prawo powiedzieć, co myśli... ma prawo i sądzić... Mieć sąd i wydać go jest dozwolone, godziwe, a nawet obowiązujące. Istotą i celem naukowej pracy jest prawda: ale prawda nie jest abstrakcją, ideą, unoszącą się gdzieś w obłokach... Przystosowanie prawdy do pewnego zjawiska, czyli sąd objawiony, a należycie poparty o fakcie, czy dzieło, zbliża teoretyczną, abstrakcyjną prawdę do rzeczywistości, czyni ją przystępną, zrozumiałą i pożyteczną“.

Otóż i *credo* tego historyka literatury, który chciał ze spichrza myśli i uczuć polskich, zawartych w arcydziełach pieśni i prozy, wydobyć jak najwięcej ziarna, nie na pokaz tylko, ale na pokarm dla współczesnego mu pogrobowego, anemicznego pokolenia. I to był dalszy, obywatelski czyn Tarnowskiego. Katedrę swą uważał za wysoko postawione obserwatorium polskości, z którego sygnalizować mógł nadciągające słoty i burze nam grożące. Nie łudził, nie schlebiał społeczeństwu, nie zapowiadał przedświtu, gdy wokół zanosło się na długi mrok — ale też nie odbierał nadziei, wzmacniał miłość dla Polski nieszczęśliwej i prześladowanej, a przedewszystkiem nie osłabiał nigdy wiary w Sprawiedliwość najwyższą, owszem sam był jasną i nieustannym trudem palącą się pochodnią najgorętszej Wiary. Namiętnie przywiązany do swej uniwersyteckiej placówki, ukochał ją jako jedyny dla siebie, skuteczny sposób oddziaływania na młode pokolenia. Gdy przed 30-stu laty cierpienie gardła zdawało się skazywać go na przedwczesne, przymusowe rozstanie

się z katedrą, obawiał się o jej przyszłość i tak się z tych obaw zwierzał: „że mnie jej (katedry) przyszły los, a zwłaszcza jej przyszły kierunek obchodzi, to się rozumie. Jest to jedna z tych, które najłatwiej mogą skrzywić i popsuć charakter polski i patryotyczny instynkt młodzieży. Nie wiem, czy może go prostować i podnosić, ale psuć go może bardzo łatwo. I ta obawa prześladowała mnie nieraz... Patryotyzm sentymentalny, a płytki (i takiż sam sąd) straszylby mnie na tem miejscu bardzo, ale przecież mniej od tego skrzywionego, który drogą filozoficznych pojęć pozytywnych idzie bezwiednie zapewne, ale logicznie i fatalnie do — Rossyi!“ (List z d. 27. Paźdz. 1886 r.).

Młodość była życia jego rzeźbiarką, a młodość ta przypadała na czasy rozbudzonych poezją messjaniczną najgorętszych pragnień Narodu: atmosfera wielkiej Emigracji ogarnęła Go nad Sekwaną, patrzył na wielką relikwię powstania listopadowego, na Adama Czartoryskiego, i oddychał patryotycznym żarem kuźnicy Hotelu Lambert; Kalinka, Klaczko, Wład. Zamoyski byli mu miarą i próbą prac własnych. Gdy wrócił do kraju, był już na resztę życia zahartowany; więzienie austriackie było rekolekcją, skupieniem duchowem przed wykonaniem programu, obszernego jak pół wieku niezmordowanej, nieustającej pracy społecznej, której lwiał częścią stał się trud uniwersytecki, uwieńczony wspnianiałym rektoratem podczas obchodu 500-tniej rocznicy Uniwersytetu Jagiell. w r. 1900 — i powszechnym hołdem społeczeństwa podczas Jubileuszu St. Tarnowskiego.

Żywot miał piękny, a szczęścia w nim tyle, ile można było znaleźć, gdy go nie było w Ojczyźnie. Z latami przybywało sławy, ale nie hardości; był to coraz radszy dziś wzór wielkiego pana, co wzorem przodka swego umiał „ludzkość wszelką okazać najlichszej osobie“. Ten rzekomy arystokrata miał dziwne demokratyczny tryb życia i postępowania. Szczera, nieudana prostota nadawała całej postaci niezwyklego uroku. Rad był Polak na początku XX-go wieku, że miał na tle Zygmunrowskiego Krakowa tego senatorskiego męża, o którym dziś dosłownie można powtórzyć to, co Kochanowski o Hetmanie Tarnowskim napisał w r. 1561:

Znaczne posługi czynił Rzeczypospolitej,
Z cnotliwych spraw swych dostał sławy znamienitej:

VI*

Był wziętym u wszech ludzi, niósł pierwsze urzędy,
A według przystojęństwa zachował się wszędy.
W tej sławie i mniemaniu przyszedł ku starości,
Którą on snadnie nosił, krom żadnej przykrości.
Na koniec, pełen wieku i przystojnej chwały,
Sam się prawie położył, jako kłos dostały.

Zbyt blisko jeszcze stoimy Jego mogiły, aby ocenić całe znaczenie i trwałość puścizny duchowej. Pokolenia dalsze ustalą sąd, dzisiaj jeszcze mącony odgłosami burzy wojennej. On sam powiedział, że „z każdego pisarza znakomitego jakaś część odpadnie, wyjdzie z codziennego użycia: ale z każdego wiele zostanie, a wszyscy razem zostaną jako dorobek i jako żywy pomnik myśli i cywilizacji swego narodu, jako podkład do jej dalszego i wyższego życia“. Otóż w tym dorobku naszym XIX wieku trud Stanisława Tarnowskiego nie zaginie. Powstająca z martwych Polska nie zapomni nigdy, że w najcięższych latach przygnębienia narodowego On przez całe pół wieku nieustannym był szafarzem dóbr Jej duchowych, że pokolenie za pokoleniem ożywiał nadzieją, ogrzewał miłością i hartował wiarą w ostateczny tryumf Sprawiedliwości Bożej na Irydionowej ziemi mogił i krzyżów.

Józef Kallenbach.
